

ERZY BRAUN.

Mars-Ziemia 5:1.

Z Olimpiady międzyplanetowej.

I.

- Przedzej kliszel
- Oto są.
- Zdjęcia! Robić zdjęcia, ale zaraz bez zwłoki!

Profesor Wolwerhampton denerwował się i gorączkował okrutnie.

Skakał i tańczył naokoło teleskopu, jak zafascynowana wiewiórka, zaglądał co moment w otworek, poczem przysiadł w ekstazie tak nisko, iż poślednie kawałki jego ciała trącały z wdziękiem posadzkę i zacierał ręce z ukontentowaniem.

— Mars, ten głuchy, wyniosły, milczący Mars nareszcie daje znać o sobie. Światłne znaki, alfabet międzyplanetowy, esperanto kosmiczne stały się faktem. Mars depeszuje do swojej siostry Ziemi, a dalibóg, kto wie, jak cudowne wieści, jak niesłychane rewelacje przyniosą nam te mikroskopijne rozblaskujące na powierzchni odległego pobratymca hieroglify.

Profesor kichnął na wiwat, machnął dziewięć majestatycznych kózłków od drzwi, aż pod teleskop i znowu zaglądał w dziurkę.

Pomocnicy jego zwijali się, jak w ukropie. Za chwilę fotografie kosmiczne były gotowe. Z błyskawiczną szybkością wywoływano teraz zdjęcia. Na każdym inny znak świetlny zarysowywał się i uwidaczniał pod wspaniałym działaniem płynów. Profesor cieszył się wciąż i klepał dobrotliwie swoich dzielnych asystentów po głowach, po barkach, po nogach i wogóle po wszystkich wpadających mu pod rozhuśtaną dłoń częściach ciała, zasępił się tylko podświadomie na myśl o tem, jak odcyfruje ową astralną epistolę.

Ale, o dziwo!

Spojrzał na klisze i zawył z radości tak donośnie, aż wypadły wszystkie szyby w całym gmachu, a asystenci zachwiali się i upadli, porażeni jak hukami obłężniczego dział, następnie osłupiał tak strasznie, że aż wszystko stanęło mu w ślup, poczem nie wytrzymał i udzielając dymisji swojej anglosaskiej flegmie, raz jeszcze puścił się na akrobatykę i począł przewracać kózły, tym razem o wiele szybsze i zwinniejsze od poprzednich. Okrążył salę obserwatorium dookoła, a za nim biegali w trop całym stadem przerażeni asystenci, pewni, że ich przełożony sfiksował bez apelacji.

— Panie profesorze, stój na Bogal

— Ludzie z drogi, wichry z drogi — wołał zaperzony nie ustając w wędrowce. — Na bok powiadam wam! Hurra!!!

Po tym okrzyku wstał i spojrzał znowu.

— Chodźcie i patrzcie! — rzekł — Czy nie mamy powodu do radości — ja, wy, Wielka Brytania, nauka i ludzkość cała...

Spojrzeli.

Depesza od Marsa pisana była alfabetem iacińskim. A brzmiała następująco:

„Dnia ziemskiego 10-go, miesiąca ziemskiego VI-go, roku ziemskiego 1924 przybywamy na Ziemię. Ładujemy w okolicy Paryża. Chcemy rozegrać mecz z reprezentacją Ziemi.

Kanał-Club, reprezentacja Marsa.

Profesor dostał napadu histerycznego śmiechu.

— Znowu ten football!

II.

- Niel To niemożliwe!
- Ależ to bujał!
- Reprezentacja Marsa? Co za kpiny?!
- Uczeń puszczają się na kawały, trzeba im dać należyty odprawę!
- Ha ha ha! A to heca...

Tak rozmawiali pomiędzy sobą członkowie Komitetu Olimpijskiego odczytując radiotelegram Wielkiego Obserwatorium Brytyjskiego w Greenwich, z wieścią o zamierzonym przybyciu Marsjan na Ziemię w celu stoczenia honorowej walki o palmę pierwszeństwa w „kopaniu” piłki.

Rzecz była tak nieprawdopodobna, że panowie z Olimpiady spoglądali na siebie ukradkiem milczkiem i chylił się podejrzejawając siebie o mnogość myszek w głowie, a swoich kolegów

o nagły rozkwit w mózgu ogromnego, wonnego, wiosennego „fjola”.

Aż wreszcie pan Athletic Rugbyman wielki Jowisz olimpijskiego komitetu chrząknął i tak się ozwał do współczłonków:

— Moi panowie. Zadrwiono z nas. Zarząd Wielkiego Obserwatorium Brytyjskiego w Greenwich postąpił nieojojalnie i niecaczanie, wystrychując nas na dudków. Protestuję! Skończyłem, dowidzenia, proszę się rozejść, idziemy na mecz Urugwaj-Holandja!

I poszli.

III.

Ale, cóż powiecie, kochani czytelnicy, gdy zakomunikuję wam, że następnego dnia rano o godz. 9 tej nad wieżą Eifla, tysiąc metrów ponad powierzchnią ziemi ujrzeli mieszkańcy Paryża w blasku olśniewającego słońca błyszczącą zjawę, jakiegoś olbrzymiego latawca.

Był to jakby potworny, gigantyczny chrząszcz, poruszający leniwie skrzydłami — z szumem, chrzęstem i szelestem unoszący się nad zdumioną stolicą.

Krążył nad wieżą Eifel, zataczając coraz mniejsze koła i spiralą opadając ku ziemi.

Stolica zakotłowała, zakipiała wrzawą miliona maleńkich ludzkich marionetek. Stawali na ulicach i placach z zadartymi w górę nosami, biegli ku wieży Eifla wymachując rękami, nogami, głowami i chusteczkami i szwargotali po francusku, płakali po czesku, śmiali się po włosku, śpiewali po turecku. Inni znów kichali po urugwajsku, gwizdali po amerykańsku i rzeli po polsku. Inni wreszcie wyrzucali kapelusz w górę na niesłychaną wysokość (jak Węgrzy), pluli flegmą aż pod chmury (jak Anglicy) i przeskakując jedni przez drugich, gryźli laski (jak Hiszpanie). Gwar, pisk, chaos nie do opisania.

A wtedy na miasto spadł z latawca deszcz białych kartek, zadrukowanych dużym, wyraźnym pismem. Chwytały i czytały je wszyscy.

— „Ziemianiel Przybywamy z Marsa! Witajcie! Niech żyje IV. Olimpiada!!!”

Szalony, niebywały entuzjazm ogarnął wszystkich.

— Hurra! Eljen! Vive! Na zdar!

jak grom huknęły wszystkie ludy na ulicach Paryża w cymbały swoich narodowych okrzyków. Zrobił się ścisł nie do opisania, zwłaszcza gdy kolosalny latawiec osiadł na powierzchni ziemi, na placu przed „Ane Triomphe”. Ośmiu Egipcjan udusiło się w tłoku, trzech Szwedów zostało sparaliżowanych zdumieniem, 25 kobiet zmarło nagle z ciekawości, wiele ludzi, psów i koni stracono, przewrócono jeden wodotrysk, pięć tramwajów i trzy kamienice, a policjanci przeważnie zostali spłaszczeni w ścisł tak, że potem musiano ich znów nadymać specjalną pompą do napełniania piłki nożnej — eterem.

Tymczasem Marsjanie wylądowali, otwarli drzwiczki swojego latającego smoka i wyleźli z wnętrza na światło dzienne.

— Aaa!!!

Oto okrzyk, który wydali Paryżanie na ich widok.

IV.

Marsjanie!!!

Isłoty dziwne, niezwykle, zdumiewające, obce! Ogromne, lyse głowy o stalowym połysku, chwieją się majestatycznie na łulowiach krótkich i cienkich, jak u osy. Nogi zasadniczo dwie, ale od wypadku jeszcze trzecia z tyłu dla pomocy. Zamiast rąk długie, nietoperzowate skrzydła o dużym rozpięciu.

Wybiegli z wnętrza latawca i z błyskawiczną szybkością ustawili się rzędem, mając na czele ogromnego astralnego chłopca, o głowie, jak beczka przerastającego o całą długość wzrostu normalnego człowieka.

Wydali okrzyk złowrogi, radosny i bełkotliwy...

Potem poczęli coś mówić prędko, pospiesznie i gorączkowo wymachując skrzydłami, jak Chór Anielski — a następnie ruszyli ławą wprost na publiczność.

Ale tu tłum ziemski, oddawna już dygocący w nieznanym, niesamowitym lęku zawył, zaryczał, zachybotał i w panice pierzchnął, podając swoje zacne tyły.

— „Zaiste — pomyśleli Marsjanie. — Ci drobnogłowcy zachowują się niezwykle głupio

i bezmyślnie. Przed chwilą zbliżali się ku nam srogą masą charcząc i wydając sobie właściwe odgłosy, teraz zaś bez wyraźnego powodu odwracają się tyłem i chyżo wymachują nogami oddalając się w kierunku przeciwnym. Przytem wbrew prawidłom fizyki usiłują wejść jeden w drugiego i czynią okropne ściśnięcia.

— „Hurburmur!” — krzyknął do swoich Prarskałrm, przywódca „Kanał-Clubu”. — Porozumieć się z tymi potworkami będzie nam trudno.”

Ale panika tłumy minęła rychło — a skoro nadlecieli autami członkowie Komitetu Olimpijskiego, których zawiadomiono o pojawieniu się jakiejś obcokrajowej drużyny zamęt uspokoił się zupełnie.

Pan Athletic Rugbyman ostrożnie i z djabelską odwagą podsunął się pod nieprzylaciela.

— „Czego żądacie?” — brzmiały jego słowa.

— „Krrrmawntok!” — brzmiała odpowiedź.

— Non capisco — rzecze Rugbyman.

Marsjanin machnął skrzydłami, a pan Rugbyman raptem zadarł pedały i czmychnął, jak struś afrykański, wydając rozpaczliwe okrzyki.

— Uo! — zdziwili się Marsjanie. — Patrzcie co za dziwny lud. Bez wyraźnego powodu odwracają się tyłem i biegną w przeciwnym kierunku. To musi być jakiś zwyczaj narodowy, albo rodzaj powitania. Należy podlecieć ku nim bliżej, bo są widocznie skromni i nieśmiali.

Tu Marsjanie wzbili się nagle w powietrze i poruszając łagodnie skrzydłami popłynęli ponad ziemią, jak nietoperze zbliżając się przyjacielsko ku płochliwym ludzkim stadom.

Ale wtedy na placu przed „Arc de Triomphe” rozpięta się piekło i dzieł sądny.

Przewracając się i trącając umykało stułysięczne zbiegowisko ludzkie na oślep, na złamanie karku i na łeb, na szyję, auta trąbiły i gwizdały, konie rżały, psy szczekały, a w kościołach całego Paryża uderzyły dzwony na trwogę.

Marsjanie zdębieli, wylądowali na wieży Eifla i wystraszeni spoglądali w dół, nie wiedząc co czynić.

Paryż szalał...

V.

Po paru godzinach przyszło wojsko i straż pożarna. Marsjan zaaresztowano, zdjęto z wieży Eifla i poprowadzono do dyrekcji policji.

Tam dopiero po długich pertraktacjach udało się dojść do porozumienia przedstawicielom dwu odległych planet. Wezwano raz jeszcze członków Komitetu Olimpijskiego na konferencję i ustalono dzień spotkania między drużyną Marsa a team'em Ziemi.

VI.

Następnego dnia...

Wszędzie afisze, plakaty, jaskrawe, kolorowe plachty reklamowe. Deszcz kartek, trzepocących na wietrze świstków spływa na białą, ukąpaną w słońcu stolicę. Wrzawa. Ludzie zdyszani, spoceni, zbiegani, z ogniem w żrenicach biegają po ulicach i placach. Czytają, przecierają oczy, drapią się po czuprynach. Co? jak? skąd? dlaczego?

Mars - Ziemia?!!!

Senzacyjna wiadomość obiegła cały glob dookoła we wszystkich kierunkach. Wzdłuż wszystkich istniejących południków i równoleżników pędziły z zawrotną szybkością radiotelegraficzne depesze.

New-York drgał i tańczył w niebywałym podnieceniu.

Anglja huczała na alarm: Bacność Ziemianiel Nasz honor sportowy jest zaangażowany.

Francuzi przewracali kózki z radości, że tak egzotyczni goście odwiedzili ich dumną, przestawną stolicę.

W kął poszedł Urugwaj!

Niczem jest przecież sensacja południowo-amerykańskich tryumfów wobec tej fenomenalnej nowiny.

Drużyna footballowa z Marsa odwiedziła Ziemię.

— Hurra! Hurra! Hurra!!!

VII.

Komitet Olimpijski bledził się, męczył: trudił w pocie czoła nad ustaleniem składu reprezentacyjnego team'u.

Kogo wybrać?